

**Cold hands****part XXXVII**

Na pierwsze słowa mężczyzny, coś w nim zawrzało.

Najgorsze w tym wszystkim było dla Owena to, że James miał po prostu rację.

Lekarzowi powinno być wszystko jedno za kogo kochanek się podawał.

Wielokrotnie nie znał nawet imienia osoby, z którą szedł do łóżka. Były takie momenty bliskości w półmroku klubu, że nawet nie miał okazji przyjrzeć się twarzy drugiej osoby. Dlaczego więc w ogóle obchodziło go to kim albo czym był agent O?

— **W dupie mam twoje umiejętności** — wyszczał już tylko. Coraz trudniej było mu klarownie się wysławiać, jakby tracił kontrolę nad funkcją mowy. — **Możesz być nawet bogiem, to i tak ty tu krwawisz przede mną.**

Chwilę później pięść mężczyzny ponownie zderzyła się z twarzą kosmity, a pół sekundy później uderzył go ponownie, bo właśnie zaczęło do niego docierać, że go lubił.

Nie chciał pozwalać sobie na myśl, że mógł go po prostu lubić i wcale nie chodziło go ich łóżkową relację. Może tłukłby go dokładnie tak samo gdyby ani razu nie doszło między nimi do intymnej sytuacji i ta myśl wierciła mu się w żołądku, niemal doprowadzając go do mdłości. Owen nie był typem człowieka, który lubił ludzi, uważał wręcz więzi emocjonalne za bardzo problematyczne i od dawna granice stawiał jasno i wyraźnie. Teraz był wściekły, że do tego dopuścił.

Jednakże żadna z tych sytuacji nie powinna doprowadzić do go takiego napadu agresji.

Owen owszem, bywał gwałtowny, duszą lekarza ciągle targały jakieś uczucia, których nawet nie próbował poznać, ale to, co zachodziło w nim teraz nie miało żadnego sensu.

Nie był zwyczajnie urażony. I nie sądził, żeby był naiwny, zazdrosny czy co tam James akurat wymyślił. W organizmie Owena zaszło coś, czego w tej chwili nie był w stanie pojąć, ani czego nie mógł nawet zauważyć, kiedy doprowadzony na granicę szaleństwa raz po raz wymierzał kolejne ciosy. Jakby coś zamieniło go w tykającą bombę, którą do wybuchu doprowadzał każdy najmniejszy nawet impuls i mogło nie mieć znaczenia co to było.

A teraz wszystko wskazywało na to, że mężczyzna osiągnął stan krytyczny i w ogóle nie patrzył na to co się dzieje. Nie istniał deszcz, który przylepił mu krótkie włosy do czoła i przemoczył ubranie, nie istniały samogojące się rany przeciwnika,

nie istniała ulica i ewentualni świadkowie tego zdarzenia. Już nawet się nie uchylał przed kontratakiem.

Nie czuł bólu, zdawało się, że był wytrzymalszy i dużo silniejszy niż powinien być jakikolwiek człowiek.

Zwinnie podciął Jamesowi nogę i znieruchomiał, jakby chciał nasycić się widokiem jego upadku. Uśmiechnął się lodowato, kiedy głowa mężczyzny uderzyła o beton, ale kiedy chwilę potem rana na jego oczach zniknęła, jakby zawył zdjęty gniewnym rozczarowaniem.

Od pierwszego spotkania mógł powiedzieć, że agent O jest piękny. Ale teraz jakoś doprowadzało go to do furii. Chciał go zniszczyć. Zatrzeć tę idealną twarz na proch i patrzeć, jak resztki zmywa z betonu deszcz.

Padł przed nim na kolana, nadal nie czując żadnego dyskomfortu związanego z tym posunięciem i znów wrócił do okładania mężczyzny. Im wyraźniej jego rany się goiły, tym mocniejsze zaczynał zadawać mu ciosy.

Nie czuł, że skóra na jego pięściach przestaje to wytrzymywać.